Nr 16. We Lwowie dnia 18. kwietnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NAD PRZEPAŚCIAMI.

I.

Olbrzymie baszty stromych skał
Spadają w głąb bezdenną,
Gdzie fale mgławic wicher zwiał
W toń nieruchomą, senną.

W słońcu goreje szczytów skroń,
Smug opalowy spada
W mgieł nieruchomą, senną toń,
Gdzie śmierć spoczywa blada.

Lśni się w opalach wiewny puch
Mgły błękitnawo-mlecznej,
A ponad śmiercią ludzki duch
Zawisł, jak blask słoneczny.

Ciała przytulił ogrom skał,
W przepaściach śmierć pod nami,
A duch, zrzuciwszy brzemię ciał,
Zawiał nad przepaściami.

II.

Na głaźnych stokach drzemie las
W błękitnej mgieł oponie —
W ten południowy, cichy czas,
Co wokół żarem płonie.

Wczoraj tu szalał błysk i grom,
Burza waliła kłody,
Dziś towarzyszy cichym snom
Szept wysrebrzonej wody.

Wczoraj z tych bezdni wyszła śmierć,
Opoki pod nią drżały,
A dziś się skrada na jej perć
Sierpniowy wiew nieśmiały.

Lśni niezmącona jezior toń
Pośród urwistych zboczy,
Gdzie wczoraj śmierci groźna dłoń
Gasiła blask przezroczy.

Jako źrenica szklana lśni
Tej ekstatycznej duszy,
Co pragnie przejrzeć tajność dnia
W przyszłości strasznej głuszy.

Co pragnie przeciąć gruby len,
Rozedrzeć mgieł okrycie,
Otaczające — wieczny sen,
Czy też wieczyste życie?

III.

Nad przepaściami ludzki duch
Zawisnął nieruchomy,
Wpatrzony w światła ciągły ruch,
W słonecznych nieb ogromy.

Wokół jasności taka moc
Wypełnia widnokręgi,
Jakby świat nie znał, czem jest noc,
Czem skryte jej potęgi.

Na miękką zieleń halnych łąk,
Na kamieniste ławy,
Blask z niewidzialnych płynie rąk,
Perłowy lub złotawy.

Skrzy się i pali każdy głaz,
Siklawa ognie ciska,
Bór rozbłękitniał, tęczy pas
Wiesza się na urwiska.

Tonie w światłościach ludzki duch,
Jak nurek w mórz głębinie;
Zlewa się razem wzrok i słuch
Granica zmysłów ginie.

Co było przedtem mocą barw,
Śród falistego drżenia
Staje się dźwiękiem setnych harf,
W melodję się przemienia.

Ponad przepaście, ponad żleb,
Gdzie śmierć cierpliwie drzemie,
Rozbrzmiały hymny jasnych nieb
I ogarniają ziemię.

Ponad łańcuchy lśnistych gór
Płynąc falami słońca,
Śpiewa anielski, wieszczy chór,
Że trwaniom niema końca.

Śpiewa — a pieśń ta jako chrzest
Odradzający wiarą —,
Że tylko życie prawdą jest,
A śmierć jest złudną marą.

Śpiewa, akordów dziwnych tok
Śląc na promienne drogi,
Że złudą tylko cień i mrok,
Że płód to ludzkiej trwogi.

Że prawdą światło, pełne łask,
Że nad tych dni zamętem
W spokój swój każdy łączy blask
W Wieczystem, w Niepojętem.

I dalej śpiewa złota pieśń,
Mknąc znikającym łanem,
Że widomego świata cieśń
Rozszerza się w Nieznanem.

W nieznanem oku ziemskich dusz,
Spowitych w ciał osłony,
Ćmiące niezgasłych odblask zórz,
Z bożego tchu zrodzony.

Ale kto starga przędzę ciał,
Ten pijąc z czar zachwytu,
Będzie świadomość jasną miał
Bezkresowego bytu.

(C. d. n.). *Jan Kasprowicz.*

Ze sztuki.

„Branki" — diorama Rozwadowskiego i T. Popiela.

Zapanowała u nas moda malarstwa egzotycznego. Zdania tego nie należy brać powierzchownie. Nie chodzi bowiem tutaj o egzotyczność tematu, o to, czy malarz przedstawia ludzi i rzeczy z dalekiego wschodu lub zachodu, czy z pod naszego nieba, ale raczej o sposób przedstawienia na obrazie, o pojęcie techniczne sztuki, o dzieła jednem słowem, które w pewnych tylko warunkach i pod pewnemi zastrzeżeniami akceptować można. Malarstwo, jako sztuka czysta, sama dla siebie, odrzucić musi wszelką uboczną, skądinąd pochodzącą pomoc, wzmagającą efekt, a ideałem obrazu byłoby dzieło, któreby zawsze, w każdej porze, wobec każdego czło-

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

(Ciąg dalszy.)

„Jakszi, Jakszi!" (Jak się macie). Ale nie sam tylko lubił i podziwiał nas Sigirybajko, innym kazał lubić i podziwiać: naprowadzał nam swoich współplemieńców, opowiadał im cuda o nas i do tego stopnia wychwalał, że na paręset wiorst wszerz i wzdłuż stepu, znano nas tu i ówdzie, na koczowiskach kirgizkich.

Nieraz, w dzień targu, tylu ich się zbierało, że słupów ganku naszego nie wystarczało dla przywiązywania koni; rzekłbyś: Azret (święta miejscowość) kirgizkie.

Dziwnem wydało się nam tylko, że nie pytał nas Sigirybajko, za co nas zesłano na te stepy jego ojców? — później jednak i to się wyjaśniło. Oczekiwał niecierpliwie wiosny, by nas do siebie zaprosić, pokazać swoim i, jak najmilszych gości, przyjąć.

Wciąż o tem nam mówił: — Przyjdzie wiosna... Kirgyz na konia wsiądzie, w step wyjedzie. „Kosz" (namiot z wojłoku) postawi... Kumys pić będzie... Zobaczycie, jak dobrze będzie... — Przyjedziecie do mnie — wszystko dam: koń dam, pies myśliwski dam, berkut*) dam... — I tak wyliczając, co ma nam dać z radości naszego przybycia, w prawdziwie naiwnym zapale hojności zwykle zakańczał:

— „Baran zarżniemy, żreć będziem"...

Przyszła nareszcie i wiosna! Dobroczynnem tchnieniem ogarnęła stepy, a pod dotknięciem jej piersi gorącej, step — ten siedmiomiesięczny, zakrzepły trup olbrzymi — zadrgał potężną żądzą życia, wezbrał nową miłością... zazielenił się, zapachniał, zabrzmiał peanem radośnym na całej swojej przestrzeni.

— W step! w step! — dzwoniło nam wciąż teraz nad uchem, rzekłbyś: pieśń pochodu — nagląca, alarmowa... Bo alarm też był w piersi... w duszy: Więziły się w niej siły, ścierały się, jak hufce sobie wrogie, a szukając zużycia się i ujścia, uderzały zajadle, jak fale o brzegi granitu, i w drobne się rozpryskiwały atomy...

*) Berkut — orzeł stepowy, używany przez Kirgizów do polowania.

wieką, w każdych warunkach fizycznych zdolne było wywrzeć wrażenie artystyczne. Natomiast egzotycznem pozwolę sobie nazwać malarstwo, co liczy na pomoc architekty, który zbudował gmach, gdzie się obraz ma pomieścić, tapicera, który pokój ubierze w odpowiednie draperje, lub dekoratora, który zastosuje sztuczne czy sztuczkami wyzyskać usiłuje naturalne oświetlenie.

Do działu zatem egzotycznego malarstwa zaliczyć należy w pierwszem rzędzie wszelkie panoramy, dioramy i t. p., których się u nas namnożyło w ostatnich trzech latach wprost do niemożliwości. Tak jak dawniej malarze nasi poprostu nie umieli zdobyć się na rzecz, coby podrażniła ciekawość publiczności, tak znowu, skoro już raz początek zrobiono, wpadają w drugą ostateczność i zbyt licznie zapisują się w szeregi, takich... „podrażniaczy ciekawości“.

Początek ów uczyniła nie panorama „Racławic“, jak to wielu sądzi, lecz starsza od niej „Wieliczka“ Piotra Stachiewicza. Wślad za niemi dowiedziano się, że malują się dwie nowe panoramy polskie: „Tatry“ Tetmajera, Bollera, Piotrowskiego i Janowskiego i „Berezyna“ Kossaka i Fałata. W przerwie pojawiła się w Warszawie i zgasła diorama Ryszkiewicza „Zbrodnia“, zdmuchnęła ją bowiem wieść aż o dwu panoramach „Golgoty“, jednej Radziejowskiego, drugiej Styki. Niedawno oznajmiono światu, że p. Styka bierze się do trzeciej panoramy z rzędu p. t. „Bem w Siedmiogrodzie“, a ostatniemi tygodniami w sali „klubu pocztowego“ publiczność lwowska miała sposobność oglądać dioramę Rozwadowskiego i Tadeusza Popiela p. t. „Branki w Jassyrze“.

Możnaby teraz jakiś czas odpocząć po takiej nawale egzotycznego malarstwa; — okrągło bowiem dziewięć panoram i dioram na trzy lata, to chyba byłoby dosyć na sztukę nawet znacznie bardziej rozwiniętą, niż nasza.

Przystępując do przyjrzenia się z kolei „Brankom“ rozpocznę od ich zalet, zachowując sobie na szary koniec zarzuty, jakie im uczynić się musi zarówno ze stanowiska artystycznego, jak — dioramicznego. A więc zaletą „Branek w Jasyrze“ jest to, co się nazywa powszechnie „porządną robotą“. Obaj artyści znani są zresztą ze swej techniki malarskiej, w każdym jednak razie sumienność ich, brak lekceważenia własnej pracy, wyróżnia ich bardzo korzystnie śród wielu zdolnych, bardzo nawet zdolnych artystów.

Krajobraz, przedstawiający monotonną okolicę bezdrzewną z wieczornem niebem, poczynającem się złocić w dali wielką łuną, zadowala zupełnie. Wprawdzie artyści ani jednym szczegółem nie postarali się o rozstrzygnięcie wątpliwości widza, czy akcja rozgrywa się w czasie roztopów wiosennych czy błot jesiennych, lecz jestto wzgląd uboczny. Figury rysowane i malowane dobrze; zwłaszcza tatar ze spisą, na koniu, strzegący branek, ściąga od razu uwagę widza, taki jest plastyczny, może aż za plastyczny ze względu na zajmującą środek płótna grupę branek, opartych o ładowny wóz ze zrabowanemi rzeczami. Obrazu dopełnia na prawo grupa

---

A więc w step... gdzie powietrza dowoli... na jego rozłogi, puste, faliste, szumiące i rozmarzone... tam zginą wasze wzdychania, ucichną rozżalenia... dreszcz życia nieśmiertelnego was przejmie...

W step do Achmeta — do przyjaciela!

Ruszyliśmy! Brzegami, wijącej się kapryśnie wstęgi Jaiku, obramowanej krzakami dzikich jagod i karłowatej brzeziny, szliśmy bobrując po drodze, płosząc, co krok, stada wielkich kulonów stepowych, żórawi, gęsi dzikich, itp. ptactwa. Szliśmy według wskazówek Achmeta, łożyskiem rzeki, zmierzając ku górom uralskim; tak idąc mieliśmy natrafić na jego koczowisko. Po niejakim czasie ujrzeliśmy daleko, jeszcze bardzo daleko, na równej polanie, kilka małych punktów czarnych, które, w miarę zbliżania się, przybierały kształt półkulisty, podobny do kopic siana: były to „jurty“ czyli „kosze“ koczujących Kirgizów.

Zdala dostrzegliśmy kilkanaście koni, pasących się swobodnie pomiędzy „jurtami“; ludzkich postaci widać nie było.

Zaczęliśmy strzelać na wiatr: był to między nami i Kirgizem umówiony znak.

Jeszcze dymy wystrzałów naszych nie opadły i nie rozwiały się po stepie, gdy ujrzeliśmy, jak ze stada koni wysunął się, naprzód jeden i z kopyta zaczął mknąć ku nam, za nim drugi, dopędzając towarzysza. Dostrzegliśmy i jeźdźców, przylgniętych do ich grzbietu. Nie mieliśmy czasu powtórnie strzelb naszych wystrzelić, gdy już jeźdźcy byli przy nas i głośnemi okrzykami:

— Jakszi! Jakszi! — poczęli nas witać. Były to dzieci Achmeta: Dziewczynka lat dziesięciu i chłopak, spory już wyrostek; oboje zażywali koni, jak najdoświadczeńsi jeźdźcy. Mówili coś do nas pośpiesznie, wskazywali na „jurty“ — wymachując rękoma... poczem zawróciwszy końmi, pomknęli z powrotem — zataczając, po kirgizku, wielkie koła.

Zdążaliśmy ku „jurcie“, u której zatrzymali się jeźdźcy, wysłani na nasze spotkanie. U jej wejścia stał Kirgiz dorosły — był to nasz Achmet. Dojrzawszy nas, już zdala gładził, zwyczajem kirgizkim, obydwoma rękami, brodę, uśmiechał się od ucha do ucha, rżał wprost z radości i krzyczał w niebogłosy: „Jakszi, Jakszi“, — aż, pasące się obok klacze, popatrywały na niego z wyrazem zdumienia.

(C. d. n.).

trzecia, tatarów, zabawiających się muzyką pod małym przydaszkiem płóciennym.

Dioramiczność „Branek“ ogranicza się do tego, że widz znajduje się w przestrzeni zacienionej, a obraz jest jasno oświetlony, cały zaś „sztuczny teren“, odgrywający niemałą rolę w egzotycznem malarstwie, stanowi kocioł, zawieszony nad wygasłem ogniskiem na trzech zwyczajnych patykach i dywan tuż obok rozścielony. Ma to niby wywołać w widzu wrażenie, iż znajduje się w namiocie jakiegoś wodza tatarskiego i przez jedną otwartą ścianę spogląda na scenę, przedstawioną na obrazie. W rzeczywistości zaś odnosi się wrażenie połowiczności. Ani to nie jest diorama w pełnem znaczeniu, ani obraz. Skoro bowiem autorowie zdecydowali się uciec się do pomocy sztucznych, ubocznych efektów, należało albo nagromadzić je w takiej ilości, w takiej sile, aby w istocie przyczyniły się do wywołania efektu rzeczywistości, albo — całkiem je odrzucić, przez co zyskałoby się większą swobodę w traktowaniu przedmiotu.

Ze stanowiska dioramicznego, jak artystycznego zarzucić się „Brankom“ musi także brak akcji. Rzecz się sama przez się nie tłómaczy. Na tym obrazie nic się nie dzieje, a przynajmniej nic takiego, coby widzowi pozwalało odczuć grozę sytuacji, wywołało w nim odpowiedni nastrój. Nie stawiam tu wcale żądania tego, co nazywamy w malarstwie „literackim tematem“, co się objawia w szumnych tytułach lub sążnistych komentarzach, a jest objawem ujemnym, lecz owszem chodzi mi o temat w granicach malarskiej możności i malarskimi przedstawiony środkami. Właśnie zaś autorowie „Branek“ popadli w błąd powyższy, każąc to, czego nie pomieścili na obrazie, dopowiadać drukowanemu objaśnieniu do niego. Mówi się tam zatem o rozmaitych nieistniejących i niemożliwych do przedstawienia na obrazie rzeczach, jak n. p o jękach mordowanych ludzi, które wiatr od strony pożaru niesie, tak, że gdyby publiczność wzięła na serjo wszystkie przyrzeczenia, zawarte w drukowanym komentarzu, miałaby prawo żądać, aby autorowie zaangażowali kogoś, coby ukryty za płótnem przez cały dzień fabrykował owe jęki...

A zatem „Branki w Jassyrze“ któreby mogły być dobrym obrazem, a nie są właściwie dioramą, jak się zdaje, nie wywrą zamierzonego efektu, nie zelektryzują publiczności, któraby na ich oglądanie tłumnie ciągnęła. W każdym jednak razie wykonanie ich nie przynosi ujmy sławie artystycznej pp. Rozwadowskiego i Popiela.

Jan Zgoda.

EDWARD JELINEK.

KRASZEWSKI.

(Ze zbiorku „Odwiedziny Słowian.“)

Z czeskiego przełożył Dr. Fr. Krczek.

Przestąpienie cichego progu staruszka Kraszewskiego było oddawna mem gorącem życzeniem. Spojrzeć w spracowaną twarz nieznużonego starca i złożyć mu pokłon, pragnąłem tem bardziej, im więcej czytałem i słyszałem o tym znakomitym mężu. Toż każdy zaiste z nas, ktokolwiek choć trochę uwagi zwracał na rozwój piśmiennictwa polskiego i kogokolwiek choć trochę zajmowało to, co się działo w kraju bratnim, spotykał się z tem imieniem bardzo często — niemal codziennie. Błyszczało od lat wielu na czele licznych dzieł treści elegancko-zabawnej i poważnie-uczonych, wysuwało się naprzód zawsze widoczną przewagą płodności niezrównanej we wszystkich niemal polskich czasopismach i zbiorowych wydawnictwach, i nie brakło go nigdzie, gdziekolwiek duchowa praca polska i myśl patrjotyczna zapuszczała korzenie w rozległe niwy roli dziedzicznej. Co więcej, Kraszewski był też snać pierwszy między tymi, od których uczyliśmy się Polskę czcić i kochać nietylko w chwili przemijającego zapału, lecz trwale i głęboko.

Nic tedy dziwnego, żem szczególną miłość okazywał zawsze Drezno już z powodu Kraszewskiego. Zresztą Drezno samo przez się jest też miastem nadzwyczaj przyjemnem, sympatycznem, i gdyby nie było doszło później do strasznej katastrofy, powiedziałbym, że Kraszewski nie mógł sobie był wybrać poza obrębem krajów słowiańskich lepszego, wygodniejszego miasta na mieszkanie i do pracy. Już Sasi różnią się od swych północnych braci tem, że mają łagodniejsze obyczaje, a następnie miasto samo opływa w przyjemności, rzadko osiągalne w miastach tak wielkich. Pod ręką ma się tu piękne zbiory artystyczne, bogate galerje, wyborny teatr — a wszystko to mile zdobi niezwykła czystość i obfitość świeżej zieloności. Setki miejskich domów, zaopatrzonych we wszystkie wygody życia wiejskiego, robią tu wrażenie przyjemnych will, w których otoczeniu nie czuje człowiek ciężkiego brzemienia życia wielkomiejskiego.

Przytem dziejowa strona Drezna nie jest też wręcz niemiła. I my Czesi tam mamy swe pamiątki, a Polacy otrzymali stąd kilku władców, wprawdzie nie najlepszych, ale jak na cudzoziemców (a to nie było ich winą) przecie nie najgorszych.

Pierwsze me odwiedziny u krakowskiego jubilata uwieńczył tylko napół pomyślny sku-

tek. Kraszewski bawił wówczas w kąpielach w południowej Francji, więc pobyt mój w Dreźnie byłby stał się zupełnie bezużytecznym, gdyby mi się nie było dostało rekompensaty w innym kierunku. W owym czasie żył jeszcze w Dreźnie hr. B. Engeström, który nietylko mię wprowadził do rozkosznego zacisza sławnego nestora literatury polskiej, lecz także z rzadką uprzejmością pokazał pamiątki, przywiezione w r. 1879 z krakowskiej uroczystości jubileuszowej. Było to istne muzeum literackiej sławy i narodowej wdzięczności *).

. . . .

Upłynął rok i znowu stanąłem na progu tej rozkosznej willi drezdeńskiej dzielnicy północnej.

I tym razem było uroczo w tym zakątku. Letnie słonko złociło czyściuchne mury pokaźnego budynku, w ogrodzie lśniło tysiące kwiatów i potoczek bełkotał, jak przed rokiem, i ptactwo świegotało, i powietrze upajało swą balsamiczną wonią, a przedewszystkiem boski spokój panował uroczyście dokoła!

Zadzwoniłem. Do bramy przybiegło płowo-włose dziecko niemieckie i otworzyło drzwi gościnnego domu. „Ja, der Herr ist zu hause!“ zabrzmiało łagodną saską niemieczczyzną. Wszedłem. I znów, jak rok przed tem, wiódł mię naprzód wielki pies, pokazując drogę na „ganek“.

Na pierwszem piętrze powitał mię już sam gospodarz.

Z serdecznością, wrodzoną Polakom, z ochotą i uprzejmością niedoopisania witał starzec, posiwiały w pracy literackiej, niepokaźnego Czecha mile i rad. Byłbym zgrzeszył ciężko, gdybym był nudził Kraszewskiego czczymi pochlebstwy, których nigdy nie był pryjacielem i przed którymi uszy swe zawsze zamykał. Wyraziłem mu więc tylko głębokim ukłonem swą cześć bezgraniczną — poczem, dotknąwszy pobieżnie kilku spraw powszednich, rozmawialiśmy o rzeczach literackich, polskich i czeskich.

Wtedy to przekonałem się ku niemałej swej uciesze zaraz po kilku słowach, że Kraszewski nietylko interesował się umysłowym rozwojem naszego narodu, ale też śledził go troskliwie i znał lepiej od tych, którzy o nas nierzadko wypowiadają i rozgłaszają tak przykre zdania. Kto pisał o Czechach, pisał też dla Kraszewskiego — czytał bowiem wszystko, co mu z tego zakresu wpadło do ręki, a co raz przeczytał, pamiętał dobrze. Podziw budziła we mnie jego pamięć: przypominał sobie nawet dość niepokaźne wiadomości z literatury czeskiej, ogłaszane w różnych korespondencjach do pism warszawskich! (C. d. n).

*) Opis willi Kraszewskiego i owego muzeum, acz obszerny, ale dziś dla nas nie ciekawy, opuszczam w przekładzie *(Przyp. tłum.)*.

MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Maciuś, Ambroży, kręcili się teraz z mózgownicy biednego Bronisława wraz z dzisiejszą i dawniejszą panią Wandą, niby szkiełka w kalejdoskopie.

— Jakto, to miałyby być ona?!... Ona, moja Wanda? — pytał siebie... i nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Zmieniliśmy się, co? — mówiła ona szybko, usiłując być przyjemną, co ją jeszcze bardziej wstrętną czyniło.

— A zmieniliśmy się, to prawda — powtórzył jak przez sen Tyniecki.

— Bagatela, lat dwadzieścia z czubkiem, to nie żarty! — mówiła dalej jejmość. — Bo ty, Maciusiu, nie wiesz, że z nas, to jest ze mnie i z pana Bronisława, miało być kiedyś małżeństwo.

Przy tych słowach, znów pani Wanda roześmiała się na całe gardło, a Bronisław wstrząsnął, jakby go kto po grzbiecie zgrzebłem podrapał.

— Dawnoż pan wrócił?

— Dzisiaj!

— A kiedy te strony opuszczasz?

Bronisław oczy, ku ziemi spuszczone przed chwilą, podniósł; ledwie przybył, już go tu i tam pytano o chwilę odjazdu. Nawet z tych ust zmienionych, obcych dla siebie pytanie takie musiało go zaboleć, a twarz przybrać wyraz cierpienia.

Pani Wanda spostrzegła to, bo szybko podchwyciła.

— Smutno tu panu? prawda?

— O! bardzo!

— Postarzeliśmy się wszyscy.

— Zmienili!

— Ba! toż wiecznie takiemi dziećmi, jak dawniej, nie mogliśmy pozostać.

— Dobrze pani powiedziałaś, wielkiemi byliśmy wtedy dziećmi.

— Pan wyjechałeś, nie wiedziałeś nic, co się z nami działo.

— A tak...

— Otóż widzisz pan, jak się rzeczy doskonale ułożyły same. Po pańskim wyjeździe, w Zielonej nastały inne czasy, a na mnie przyszły kłopoty. Mój ojciec szybko umarł po pańskim, zostawiwszy interesy w prawdziwie opłakanym stanie. Brzezinki zadłużone nie byłyby wstanie wytrzymać ciosów, jakie je czekały, gdyby nie szlachetna pomoc pana Skorodrackiego i jego

syna Maciusia, który tutaj obok nas stoi. Wierzyciele wystawili na sprzedaż Brzezinki, pan prezydent wynalazł akt, na mocy którego przez długi proces zapewnił mi jaką taką egzystencję. Maciuś był dobrym, przystojnym chłopcem, nie takim chudziną, jakim go pan widzisz dzisiaj. Wierzycieli wykwitowaliśmy z niczem, no, i pobraliśmy się, jak Pan Bóg przykazał. Teraz robimy pieniądze i chwalić Boga na starość mamy o co ręce zaczepić. Radzę też i panu, jeżeli tam z panem Stanisławem uda ci się w dobry sposób załatwić działy, abyś także o żonie pomyślał. Utyjesz wtedy, jak ja i dobrze ci będzie na świecie.

Tą krótką relacją o kolejach swego losu, dopełniła pani Wanda już wszelkich szczegółów, jakich mógł od niej spodziewać się Bronisław.

Zdawało mu się, iż zastanie tutaj, jeżeli nie owo marzące dziewczę, to przynajmniej kobietę, której powierzchowność tylko mogła uledz zmianie, tymczasem zastał istotę, która po drodze życia zgubiła gdzieś duszę i nie miał ochoty dłużej jej się przyglądać.

— W istocie zajmującą opowiadasz mi pani historję, po szczegóły dalsze może innym razem tu zajdę, tymczasem na zaspokojenie mej ciekawości wystarczy, com słyszał i nie pozostaje mi nic więcej, jak tylko przeprosić państwo za to moje niespodziewane najście.

Ten nadzwyczajny frazes Bronisław mimowoli wypowiedział tak tragicznym tonem, iż rozśmieszył nim i pana Maciusia i pana prezydenta.

Pierwszy z nich nawet, poza plecami Bronisława pokazał palcem na własne czoło, jakby chciał powiedzieć do żony: to warjat! na co potakujący ruch głowy ze strony magnifiki otrzymał.

Pan prezydent tylko tego telegrafu małżeńskiego nie widział i zwracając się do gościa, tonem protekcjonalnym zapytał:

— Cóż, proces, a?...

— Jaki proces?

— No, z braciszkiem miłym. Pomogę, byle coś na tem zarobić.

— Nie myślę się procesować.

— Gałgan braciszek nie da ani kopiejki bez procesu, ja bym go nauczył rozumu, a?... Pan się nie baw w sentymenty, teraz nie takie czasy, każdy sobie rzepkę skrobie; protokulik się spisze, świadkowie, przysięga, takie szelmostwo pachnie kryminałem, a?...

Pan prezydent mówił jeszcze długo, ale Bronisław go już nie słuchał. Marzycielowi, poecie, od chwili gdy wstąpił na swoje własne śmiecie, gdy starą, zbolałą pierś chciał odżywić czarem najpiękniejszych wspomnień, dawano kropla po kropli najwstrętniejszą prozę życia, która go do rozpaczy doprowadzić mogła.

Kolega genjalny, jako poczhalter stacji i do tego alkoholista, przywitał go pierwszy i ostudził.

Brat znieczulił.

A ci ludzie z za mostku i rzeczki dobili.

Pożegnawszy ich grzecznie, chłodno, wracał teraz do Zielonej już prawie bez gorączki. Nie spieszył się i nie marzył, ale z jakąś zawziętością niewytłómaczoną zaczął rozumować w inny zupełnie sposób, niż dotąd.

Jakby uległ krążącym w powietrzu epidemicznym atomom miazmatów, zamiast marzyć i cieszyć się wspomnieniami, zaczął i on obliczać.

— Do krocset — mówił mu rozsądek, — po jakie licho ja tu przyjeżdżałem. Trzeba być skończonym idjotą, aby w ludziach z przed dwudziestu laty chcieć zobaczyć tych samych młodych, niedoświadczonych jelonków, gotowych niby ćma na każde skinienie biedz w ogień i w nim się smażyć. Czego ja mogę chcieć od nich? Trudno, aby Antoś, nie mając co jeść, czekał aż mu zaproponują godność ministra i żołądek swój karmił genjuszem własnym tylko; trudno, aby Staś pozwolił jak dawniej objadać się chłopom; tracił majątek na fatałaszki i z torbami poszedł; wreszcie trudno też domagać się od Wandzi, aby dlatego, że mi zachciało się wędrować po świecie, wstąpiła do klasztoru, uschła jak szczepka i z tęsknoty za mną umarła? To trudno! żyjemy na świecie, a nie w obłokach; mamy żołądki i apetyt, z czem się koniecznie liczyć trzeba, wszelkie więc moje pretensje albo nie mają absolutnie podstawy żadnej, albo są tak dzikie, że psychjatry winni mnie wziąść za nie pod obserwację, lub odstawić do czubków.

Przyszedłszy do takiego wniosku, Bronisław w powrotnej drodze inaczej już patrzył na to, co go otaczało. Ścieżynka i mostek wydały mu się drogami niepotrzebnemi, zajmującemi spory kawał ziemi, którą możnaby z korzyścią pewną uprawić pod buraki lub jaki inny produkt, dający zyski i nawet kapliczce ze świętym Janem nie ukłonił się, lubo religijnym był bardzo.

Oranżerja wydała mu się bardzo piękną, dąb stary godnym emerytury lub dymisji, gdyż jej smaczną strukturę zasłaniał; dwór arcy gustownie odnowionym, a chaty na pół rozwalone wieśniacze, bardzo pięknem dopełnieniem malowniczego widoku Zielonej.

Z kolei w tak trzeźwem rozumowaniu musiały przyjść i praktyczne myśli o własnym losie.

Bronisławowi w świetle trzeźwości ukazało się pytanie: Co będziesz dalej robił?

— A cóż — mówił tym razem prosty, zdrowy chłopski rozsądek. — Tyle lat włóczy-

łeś się po świecie; sam powiadasz, żeś się tyle nauczył życia, tylu ludzi poznałeś — pełną dłonią czerpałeś naukę ze wszystkich uniwersytetów, przyglądałeś się pracy skrzętnych mrówek poza morzami, odbierzesz więc połowę schedy po ojcu i tak, jak inni, zaczniesz swoje kółko kręcić, być nareszcie rozumnym, prowadzić program pracy organicznej, stawiać fabryki, oszukiwać innych i być oszukiwanym — jednem słowem zaablegrujesz się na gruncie, na którym dotychczas jesteś rośliną obcą, niezdolną do wydania owocu, anachronizmem jakimś, który w oczach trzeźwości umysłowej, rachunku i geszeftu, skazany być musi na zatracenie.

Powziąwszy takie postanowienie, jak mu się zdawało niewzruszone pod każdym względem, pewnym już krokiem wstąpił do dworu i nie pytając lokaja, kroki swe skierował wprost do kancelarji.

Pan Stanisław konferował z oficjalistami, słuchał ich raportów, dawał polecenia, robił uwagi ostre tam, gdzie widział zaniedbanie, lub pochwalał chłodno, gdy spostrzegł, że wykonano jego polecenie akuratnie i że z tego wynikł pożytek dla jego worka.

Bronisław tej audjencji przysłuchiwał się z całem nabożeństwem i podziwiał rozum brata.

Gdy wyszedł ostatni oficjalista, Bronisław poruszył się na miejscu, jakby i on chciał jakiś raport przed bratem złożyć.

— A co? widzisz, jak się to teraz pracuje u nas w Zielonej! — zawołał brat młodszy.

— Widzę i podziwiam cię!

— Mój kochany, nie ma co podziwiać, to proste następstwo rzeczy, gdyby ojcowie nasi chcieli tak pracować, jak my pracujemy dzisiaj, nie bylibyśmy się znaleźli w położeniu ostatnich nędzarzy.

— Masz słuszność — baknął Bronisław.

— No, ale mój dobry bracie, pocóżeś ty wracał z zagranicy, pocóżeś tutaj przyjeżdżał?

— Jakto poco?

Tego pytania pomimo ewolucji, która się odbyła w umyśle jego, Bronisław jeszcze nie zrozumiał.

— No tak, nareszcie trzeba sobie postawić pytanie, poco człowiek żyje i jaki ma cel przed sobą.

Bronisław schylił głowę ku ziemi, wstyd mu było tego, co miał powiedzieć, ale jeszcze na sztukę kłamstwa zdobyć się nie umiał.

— Tęskno mi było za rodziną, za Zieloną, ze wszystkiem!

Kaskada ironicznego śmiechu była odpowiedzią na to wyrażenie idealisty.

(Dok. nast.).

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

Dalekie, opalowej barwy obłoki, podziwiane z Czerwienczan, przeistoczyły się w posępne chmury, zawisły nad naszemi głowami, zgasiły słońce. Kiedyśmy więc wstępowali w las Baraniej, stał on bez blasku, bez głosu, bez tchu, — zimny, skamieniały, zagadkowy.

I groza jakaś szła od czarnych drzew, od ciszy grobowej, od ponurego nieba, a serce, przytłoczone ogromem natury, jej majestatem, jej potęgą, biło silniej lub zamierało w nieokreślonem oczekiwaniu...

Coraz nam trudniej posuwać się naprzód. Grunt ugina się pod stopą sprężyście i pluchoce wodą, która poi tę bajeczną roślinność, oko nie może przebić zasłony gąszczu. Zdaje się, że tajemnicza jakaś ręka, gromadziła tu sztuczne przeszkody: skłębiła ponad ziemią korzenie drzew w gniazda wężowe, przetkała szare pnie gęstem podszyciem, cisnęła pod nogi wędrowca olbrzymie wykroty.

Nareszcie stajemy u celu.

W cieniu świerków, na tle bujnej zieloności połyskują ciemne tafle niewielkich zbiorników wody, które dają początek Czarnej Wisełce.

Górale nie nazywają ich *zarzodlami* (źródłami), tylko *wykapami* — i mają słuszność! Woda nie bije tu bowiem żywym prądem, ale wysącza się, *wykapuje* z czarnej, nasyconej wilgocią ziemi. Najwyżej położona z tych mikroskopijnych sadzawek ma kształt czworokątny, dalsza, — okrągła, kryje się, jak gniazdko mysikrólika, pod igliwiem młodych świerków, — trzecia z koleji, zakreśla elipsę i wygląda jak ciemne, zieloną rzęsą przyćmione oko. Tu, przy trzecim *wykapie* widać już odpływ wody, która dotąd sączyła się kędyś w podziemnych cieśniach — i słychać jej szept, do tłumionego płaczu podobny.

Czemu łkasz tak żałośnie, Wisełko? Żal ci — jak gminna opowieść twierdzi — rozstawać się z matką Boraną, czy może w błysku jasnowidzenia przeczuwasz dalsze losy, — wiesz, że płynąć ci wypadnie ziemią, skutą w kajdany, — krainą niewoli, że twoje wody często mącić się będą łzami i krwią? Czemu łkasz tak żałośnie, Wisełko?...

Zamiast odpowiedzi potężny wark wzbija się ze żlebu i wstrząsa ziemią. — To chmury, sunąc bezkształtnem cielskiem poniżej źródeł, srożą się i ciskają błyskawice.

Przy huku piorunów idziemy dalej, — wyżej.

Na szczycie Baraniej zieleni się porosły borówkami kopiec graniczny i butwieje obalony znak trjangulacyjny. Z platformy tego ostatniego, która wznosiła się ponad wierzchołki drzew, można było dojrzeć ziemie nasze, do wszystkich trzech zaborów należące, a mianowicie: część Cieszyńskiego i Górnego Śląska, południowy skrawek Królestwa i zachodnio-południowy Galicji. — Nęcący a żałośny dla oka polskiego widok!

Posuwamy się grzbietem Baraniej, wzdłuż linji granicznej, stąpając raz po śląskiej, to znów po galicyjskiej stronie, poczem skręcamy w kierunku północnym i oto już jesteśmy u źródeł Białki.

Przed nami płaska, omszona skała. Ma ona kształt olbrzymich, z wnętrza ziemi wychylonych, nawpół otwartych warg, z których woda wytryska djamentowym strumieniem.

Źródło „pod skałką" uważane jest przez miejscową ludność za właściwy początek Białej Wisełki, jakkolwiek na tym samym poziomie wydobywa się z ziemi i kilka innych drobnych strumyków, które zlewają się poniżej w jeden potok.

Nie trzymając się kapryśnego biegu Białki, zagłębiamy się po ramiona w gęsty, lśniący kroplami świeżo opadłego deszczu las paproci. Doprowadza on nas do miejsca, gdzie Wisełka, rozdarłszy łono ziemi do kamiennego trzonu gór, pędzi po skałach, wartka, perlista, głośna.

Czemu tak wesoło szumisz, Wisełko? Radujesz się li — jak gminna opowieść twierdzi — żeś się wydostała z pod mrocznej opieki matki Borany na słońce, na swobodę, na wolę, czy może w błysku jasnowidzenia przeczuwasz dalsze losy, — wiesz, że płynąć ci wypadnie ziemią, słynną „z serca, z męstwa, z gościnności", — krainą chrobrego plemienia, które i w dniach klęski nie przestanie być sobą a kajdany niewoli na miecz walki przekuje? Czemu tak wesoło szumisz, Wisełko?...

Fala rwie dalej, niewstrzymana, zwycięska, a kto chce, — rozumie jej mowę.

Dolina Białej Wisełki, najpiękniejsza na Śląsku, robi wrażenie kawałka Tatr, przeniesionego w Beskidy. Wdzięczy się tu flora tatrzańska, głazy wydają subtelną woń fijołków, fala posiada niemniej szalony temperament, dumnie piętrzą się ściany gór, najczęściej zielone, ale niekiedy, — jak pod Cieńkowym naprzykład, — kamienne, prostopadłe, tylko u szczytu zwieńczone koroną świerków i festonami gencjany.

Lewym brzegiem Białki wiodła dawniej wygodna droga, zbudowana na zarządzenie arcyksięcia Albrechta z ogromnym nakładem kosztów i pracy, ale w setną rocznicę Kościuszkowskiego powstania, na wiosnę, wody rzeki wezbrały, wzburzyły się, zniosły sztuczne zapory i wszechwładnie zapanowały w utworzonym przez siebie wąwozie. Teraz więc w miejscach, gdzie pionowe krawędzie gór bardziej ku sobie się zbliżają, trzeba iść dnem Wisełki, skacząc z głazu na głaz. Czyniliśmy i my to samo, goniąc zazdrośnem okiem lotną sarnę, która mignęła w oddaleniu i znikła, jak widmo.

Sarny, zające i wyjątkowo ukazujące się borsuki, łasice, gronostaje — to jedyni czworonożni mieszkańce tutejszych lasów.

Co do drapieżców i dzików, niszczących dobytek gospodarzy, te żyją już tylko w legendzie o matce Boranie, w rzeczywistości zaś uległy od pół wieku zupełnemu wytępieniu. Obyż dobry przykład Śląska znalazł co rychlej i u nas w Galicji naśladowców!

Wzrastający łoskot fal zapowiada blizkość miejsca, w którem Białka ukazuje się oczom wędrowca w całym blasku siły i krasy. Jakoż stajemy niebawem u wodospadów. Masa wodna leci tu z wysokości kilkunastu metrów, wre, kipi, połyskuje srebrem, toczy perły, — zdaje się, że to bajeczny olbrzym wydobywa z wnętrza gór zaklęte skarby i ciska je w przestwory.

Tej jasnej, żywej, szumiącej wodzie ludność miejscowa przypisuje niezwykłe własności. „Wiedzom — mówiła mi młoda góralka, która sama „nie wyłaziła" ani razu na Baranię, była więc tylko echem rozpowszechnionego mniemania — wiedzom, jakby dali do garneczka *fifkę kwitu* (kufelek spirytusu) i fifkę tej wody, toby kwit zczez, a ostałyby się jen dwie fifki wody". Inny znowu góral zapewniał, że źródłom swoim zawdzięczają w pierwszym rzędzie zdrowie i siły. A kto napije się *wczas* na czczo wody Białki, ten „dostaje na cały dzień taki głód, co żadna jedza nie poradzi go dobrze nasycić".

Urocza zawsze dolina Białki cudniej jeszcze musi wyglądać przy oświetleniu słonecznem. Nam gwiazda dzienna odmówiła swoich promieni, — bo chociaż deszcz i grzmoty nie długo trwały, niebo, jak spłakana źrenica, pozostawało zamglone.

I nie wyjrzało już słońce dnia tego. Tylko, — gdyśmy się znaleźli z powrotem przed szkołą p. Kubisza, — rozżarzyło na zachodzie osłaniające jego tarczę obłoki. Stanęły one nagle w purpurze i złocie, podobne do wysoko gorejących a cichych płomieni i, jak od płomieni, biła od nich łuna.

Przy tem dziwnem świetle przyglądaliśmy się połączonym Wisełkom. Płynąc już wspólnem korytem, zachowują one przez dłuższy czas właściwy sobie charakter i pod lewym brzegiem pomykają ciemne fale Czarnochy, u prawego zaś srebrzą się przejrzyste wody Białki.

M. Wysłouchowa.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie